



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Uciekłem z Warszawy, nie zerwałem jednak z nią całkowicie; o setkę mil oddaliłem się od niej, a jednak blisko niej być muszę, ażeby każde drgnięcie pulsu jej usłyszeć i mieć złudzenie (niemile wprowadzie w danym razie), że się znajduje na bruku miejskim, oddycha się ciężkiem powietrzem, omija się baryery na chodnikach, postawione koło odnawiających się domów, z trwogą się patrzy na podnoszące się mury nowej kamienicy, umyka się przed cyklistą, który tylko co dostał patent dobrej jazdy i — patrząc w niebiosa, zadaje się sobie pytanie: I kiedyż ty plakać przestaniesz, o niebo warszawskie, pożądaną pogodą błysniesz i rozradujesz oblicza letników?

O tem niebie chmurnem, pogodzie dżdżystej i odkładanych wciąż „Nocach weneckich“ dowiaduję się oczywiście z Kurjerów, a że litość jest wrodzona sercu mojemu, lituję się nad przygodnymi mieszkańcami Kotunia, Mrozów, czy Mińska-Powiatowego, ja, który mam nad sobą cudne, rozjaśnione błękity ukraińskiego nieba, nieobjęte okiem przestrzenie czarnoziem, kłaniające mi się do stóp łany pszeniczne, kurhany i mogiły, w smętnej zadumie wśród obszarów zbóż i traw stojące.

W pięknym, o łagodnych brzegach rozdołę srebno-szafirową wstęgą Sob się wije, omija zaznaczony w dziejach Kalnin. Przez szuwały i sitowia, z półzmerem, półszepem, ów Sob się przesuwając, ruchem węzowym skręca się na lewo i prawo, lśni nieskończonym błękitem wśród łąk majowej zieleni, z lekkim pomrukiem uderza

o niskie brzegi, nad któremi chwieje się prastare drzewo pięknego parku „Peli“ *) i tu się rozlewa w kryształiczną szybę stawu, z lewej strony obramowaną ogrodami i sadybami wiejskimi, z prawej czerwonymi dachami miasteczka, a spięta z przodu przesłoniętą kłamrą pałacu Kurzawskiego, niegdyś rezydencji hr. Potockich, dziś siedziby książąt Światopełk-Czetwertyńskich.

Niebo bez chmur, wspaniałe waz rzeki, ogrody i parki, łąk zielen, stepowych traw zapach, a nadewszystko ujmująca gościnność obojga księstwa, — to wszystko są warunki, których pozazdrościć mi mogą szukający odpoczynku w willech podmiejskich, wymęczeni mieszkańcy Warszawy, — i dlatego, mając serce miłością bliźniego przepełnione, w ich stronę wysyłam te kilka słów żalu szczerzego.

Trudno, okrutnie trudno rozstać się ze wspomnieniami ziemi, której dumami i mleczem kwieciami wykarmiony zostałem, ale zadość uczynić potrzeba przyjętym na siebie obowiązkom kromikarskim i wziąć czapkę niewidkę, obuwić czarodzieja, krokiem jednym stumilować przestrzeń przebiec, niekiedy między was się wcisnąć, rzucić *confetti* w błękitne oczy pań rozbawionych, odnaleźć gdzieś oczy czarne i szepnąć: „czy pamiętacie?“

Ach! są chwile, w których chciałoby się mieć owe samochody i czapkę niewidkę, szczególnie nie to ostatnią. Niestety! czarnoksiężką moc tę mają... „Kurjery.“

Z nich się tedy dowiedziałem, o (odbytej już może) zabawie, przygotowanej przez Towarzystwo cyklistów na dzień 2 b. m. Zabawa ta nosi nieznane dotąd miano „Ogórkowej“, do której dodano określenie „wielkiej zabawy słomianej“, przez wzgląd na niemалą liczbę wdow-

ców słomianych, którym, bądź co bądź — pocieszenie się należy po rozstaniu się z ukochanymi żonami. Pocziwi cyklisci nie zapomnieli o tych nieszczęśnikach, niech za to świecą ich Dynasy w dniu, przeznaczonym na zabawę pogodą niezamąconą, a imię ich niech przechowa pamięć potomna wszystkich słomianych wdowców. Oto, jak się przedstawia owa nowość obiecująca:

Każdy z uczestników przyjemnie zdziwiony zostanie otrzymanym przy wejściu prezentem. Zasiądzie na trybunie.

Niemalego wzruszenia doznawać będzie podczas wyścigów damskich, przez komisję sportową na torze dynasowskim obmyślanych i organizowanych.

Na wyścigi złożą się aż trzy biegi: wolnej jazdy, bez kierownika — *handicap* i bieg „pocieszenia.“ „Zwycięzcy“ (ładny wyraz) nagrodzone zostaną żetonami Warszawskiego Towarzystwa cyklistów, pomiędzy którymi (nie cyklistami, lecz żetonami, choć zaimkowanie w sprawozdaniu, z którego czerpiemy te wiadomości, mogłoby na myśl cyklisnę przywieść), znajdzie się okazały (nie cyklisna, ale) — medal złoty emalowany.

Zakończy wyścigi „bieg dżentelmeński.“ „Udział w nim wezmą członkowie Towarzystwa, którzy dotychczas nie startowali jeszcze na żadnym torze.

A że każdemu jest miła swoboda, po tych zapasach sportowych rozpocznie się „zabawa swobodna“, bo na świeżem powietrzu, dodaje w sam raz sprawozdanie.

Nowością będzie „nurek“, dotąd w Warszawie nieznan, a mający być „znakomitością“ w swoim zawodzie. Na „sali“ pod gołem niebem... obok kręgielni urządzone będą tańce. Wspaniała iluminacja uświetni zabawę. Dynasy będą udekorowane festonami z ogórków i — słomy.

I czego chcieć więcej?... Na Dynasach zwykle bawią się dobrze, a wszelka nowość pociąga tł-

*) Park Peli, Pelagii, córki Szczęsnego Potockiego, urodzonej z Mniszchowej

my. Czasy zaś ogórkowe tak ubogie są we wszelkiego rodzaju pomysły i wynalazki, że możemy tylko szczerze przyklasnąć ruchliwemu Towarzystwu cyklistów.

Budowanie nowych gmachów w Warszawie, walenie dawnych, zmienia do niepoznania fizyonomię miasta. Z obawą człek patrzy na Nowy-Swiat i Krakowskie-Przedmieście, z obawą, by czasem mania strzelistych ulic nie wzięła pod sznur tych dwóch najpiękniejszych dzielnic naszego grodu. Ulice: Piwna i Świętojańska, jako też rynek Starego-Miasta, zostają i może długo jeszcze zostaną w strojach swych dawnych; Nowy-Swiat niebardzo ulega prądom nowoczesnym, ale najpiękniejsze, łamaną linią zarysowane Krakowskie-Przedmieście coraz bardziej ulega wymaganiom wygody i starą szatę na nowszą zmieniać musi. Do monografii miasta należyć wkrótce będzie pałac Tarnowskich; wojownicza Syrena usunie się ze szczytu bramy tajemniczej ulicy Karowej, natomiast wzniosą się trzy i cztero-piętrowe kamienice, wygodne, niezbędne, ze wszystkimi zaletami domów nowoczesnych, ale otrzaskająca ten pył starości Warszawy, niczem już do dusz wrażliwych, do serc tkliwych nie przemówi. Wązka ulica Oboźna w trójnasób się rozszerzy, otworzy się widok na Wisłę, przybędzie widnokregu więcej i wygody, ale, ale... po czterykroć powtórzę: ale — ja, starzych murów kochanek, więcej może przeszłością niż teraźniejszością żyjący.

Przyjemnie jednak dotknięty zostałem wiadomością, że wreszcie ulica Foksal do należytego już ładu przyjdzie. Cała lewa jej strona, od Nowego-Swiata, aż do przedłużenia ulicy Wróblej, przeszła na własność hrabiego Ksawerego Braniczkiego z Wilanowa, który, nabywszy posesję nr. 3 od Nowego-Swiata, pozyskał dla niej prawa frontu od Foksała i wzmiankowanej części ulicy Wróblej. Gdy ukończą się umowy z lokatorami tej posesyi, znikną wszystkie dotychczasowe budowle, natomiast zaś stanie jeden gmach wielki o trzech frontach, tak, że ta część ulicy Foksal czterdziestoma frontowymi oknami błysnie. Wiesz mówi, że będzie to jeden z piękniejszych gmachów w mieście ze stylowymi elewacjami frontowymi. Przy tej samej stronie ulicy pozostała już jedna tylko posesya wolna koło pałacu hr. Gustawa Przedzieckiego, lecz — także wiesz głosi, że i na nią znalazł się już amator, który tam wzniesie rezydencję prywatną.

Jednocześnie prawie ma wygląd swój zmienić i prawa strona ulicy. Kamienica od Nowego-Swiata ma być przedłużona aż do gmachu Towarzystwa wioślarskiego, dalej, na miejscu kawiarni czy mleczarni, oraz placu przyległym, dzierżawionym przez grono amatorów *lawn-tennisu*, staną cztery domy, na tyle bowiem posesyi ogród i plac zostały rozparcelowane, jedną zaś z tych parceli nabyło już Towarzystwo kopalni i zakładów górniczych, które jeszcze w tym roku wybuduje tam swoją siedzibę. Obok do nowo-wykończonego już gmachu przeniosła już swoją siedzibę szkoła handlowa Ronthalera, mieszcząca się dotąd w domu hr. Dąbskiej na Nowym-Swiecie.

Jak widzimy więc z tych wiadomości, maluczko, a na Foksalu parkany brzydkie znikną, okażą się gmachy staną, z których parę należyć będzie do rezydencji prywatnych. Gdyby to tak można było zmienić brzydką nazwę ulicy, nie-swojsko brzmiącą, a żadnego wartościowego nie mającą znaczenia. Nie znam powodu, dla którego tak ochrzczonej została, jakaś błażostka niezawodnie początkiem tego być musi, a tymczasem brzmienie niemieckie ulicy razi słuch nietylko germanofobów.

Od czasu do czasu głosy do nas dochodzą, że nie jesteśmy bez kapitałów, leżą one uwieszone w cztero-procentowych papierach, a praktyczni i przezorni „zagranicznicy“ kapitały swoje w ruch puszczają, zarabiają rubla na rublu nieraz, robią ananasowe interesy, rozsiadają się wygodnie na śmieciach nie swoich i podśpiewując pod nosem: „Deutschland, Deutschland, über alles,“ wierni swemu hasłu: „Drang nach Osten“

Jest srogie ale nieubłagane prawo natury, że miejsce niezajęte zająć ktoś musi. Niewielu mamy

dobrych przyrodników, ale elementarne te prawa przyrodnicze, bądź co bądź, nie są nam obce. Tymczasem nęgosostwo jakieś wrodzone każe nam o tych nawet katechizmowych prawdach zapominać i gdy posłyszmy tuż koło nas śpiewaną piosenkę: „Drang nach Osten!“ „Drang, Drang“ — powtórzmy bezmyślnie, a za łeb się chwycimy wtedy dopiero, gdy „zagranicznicy“ z pod nóg naszych wyjmie wór złota.

Przypominamy czytelnikom naszym historię, tyczącą się sprzedaży gruntów po byłych warsztatach artyleryjskich przy zbiegu ulic Bielańskiej i Długiej. Dla ochrony tego terytorium od przejścia w ręce obce, prasa nasza, czyniąc za-dosć swym obowiązkom, wzywała kapitalistów miejscowych do zajęcia się tą sprawą, udowadniając, że kupno tych gruntów jest nadzwyczaj korzystnym interesem. Pomimo nawoływań tych i przedstawień, nikt do transakcyi nie stanął, aż zjawił się kapitalista i fabrykant berliński p. Albert Simons, dobił targu i złożył zadatek. Że zaś my zawsze lubimy zjadać musztardę po obiedzie, oskoma do niej i teraz, po zjedzeniu już obiadu, za zęby nas chwyciła. Opamiętał się nasamprzód zarząd miasta i odniósł się do władzy wojskowej z propozycją nabycia gruntów za cenę 35,000 rb., stawiając już na gruntach tych (oczywiście w imaginacyi) rozmaite gmachy publiczne: administracyjne, sądowe, naukowe i tak dalej i dalej. Ale pan Albert Simons, człek musi być niegłupi; nie kupował kota w worku, opatrzył dobrze ze wszech stron to zwierzątko i nie rad był pozbywać się pożądanego nabytku. Chcąc więc utrzymać się przy kupnie, zaofiarował magistratowi część placu bezpłatnie na cele regulacyjne, a nawet złożył pewien fundusz na budowę nowego kanału obok gmachu więziennego. Wiesz niesie, że w obec takiej propozycyi magistrat cofnął swoją ofertę i — ostatecznie, place po byłych warsztatach artyleryjskich przejdą na własność p. Simonsa.

Czy było jakiegokolwiek bądź ryzyko ze strony aferzysty berlińskiego?

Wątpimy!

Tacy ludzie nie przystępują do interesu z zawiązanymi oczyma. Znają wartość grosza, wartość pracy i wiedzą, co z czego zrobić można. Interes musi być bez zarzutu, gdy obcokrajowiec zgodził się na stosunkowo znaczną ofiarę w naturze i gotowiznie, by tylko współzawodnika się pozbyć. Jakie gmachy i jakiej użyteczności staną na kupionym przez Niemca placu, — o tem nowonabywca dyskretnie zachowuje milczenie; wiemy tylko, że zakłady naukowe, izby sądowe, gmachy administracyjne, słowem: to wszystko, co było snem pięknym ojców naszego miasta, ulotniło się jak sen, dzwoni tylko w zmienionej nieco formie i znaczeniu „ausrotten“ nieubłagane; zwycięża siła postanowień, rozum praktyczny, zostawiając mrzonki — dojutro.

W tej chwili leży przed nami „Podręcznik do nauki literatury polskiej“, ułożony przez Kazimierza Króla i Jana Nitowskiego, a wydany nakładem Michała Arcta.

Z radością witamy tę część pierwszą, czy pierwszą połowę, jak głosi napis na okładce. Brak nam dobrych podręczników, któreby treściwie, bez przeciążającego balastu dat i drobiazgów, zapoznawały młodzież naszą z piśmiennictwem ojczystem. Pierwsza połowa omawianej książki kończy się na wieku ośmnastym, druga więc cały dziewiętnasty wiek zajmie, a mamy nadzieję, że pisząc o poezyi doby ostatniej, nie tak po macoszemu z nią się obejdą, jak to dotąd różni powołani i niepowołani krytycy robili, zostając wciąż pod urokiem doby mickiewiczowskiej.

Lecz powróćmy na chwilę do książki.

Autorzy „Podręcznika“, chcąc być *plus catholique que le Pape*, w rozdziale o „zabytkach w języku polskim“ piszą: „Pieśń Bogarodzica, której początkowe zwrotki, będące apostrofą do Matki Bożej i Syńa Bożego, powstały w połowie XIV wieku, zaś kilkanaście następnych, opiewające zmartwychwstanie Chrystusa lub zawierające apostrofy do różnych Świętych Pańskich, utworzyło się później, stopniowo powstając różnemi czasy. Ztąd utwór ten nosi na sobie wszelkie ce-

chy ludowego utworu. Najwcześniejszy odpis tej pieśni, który doszedł do nas, pochodzi z połowy XV wieku, zaś drukiem po raz pierwszy była ona ogłoszona w r. 1506, przy statucie Łaskiego.“

I tylko tyle. Pokłóciłbym się tutaj z frazeologią trochę, ale nie o to mi idzie.

Naszem zdaniem autorowie popełnili tu błąd mały przez zbytnią sumienność i szacunek dla badań naukowych, tyczących się prastarej pieśni. Tradycja pieśń tę przypisuje św. Wojciechowi, językoznawcy o dwa z górą wieki na-przód ją wysuwając. Badacze mają za sobą pewną ścisłość naukową, tradycja powagę lat, której potęgę nikt odmówić nie potrafi. Uczony jednak, który innemi oczyma patrzy na wytwory ludowej czy narodowej fantazyi, nie zawsze i nią pogardzać winien. W książce, jaką jest omawiany podręcznik, którego zadaniem jest znajdować się w ręku młodzieży, wypadło bezwarunkowo wspomnieć, że pieśń „Bogarodzica“ naród przypisywał świętemu Wojciechowi, choć autorstwa hymnu tego niemożna złożyć na karb misjonarza.

Dlaczego upominam się o to wspomnienie?

A oto dla tege, że dzieciak nawet, w każdej rodzinie polskiej, nie mający pojęcia jeszcze o literaturze, — wie już, że Bogarodzica była pieśnią bojową, że autorem jej był święty Wojciech, którego nie na jednym obrazku macierz mu pekazywała. I oto tak zżył się z tem imieniem świętego męczennika i z pieśnią jego, że gdy, podrośszy weźmie do rąk Podręcznik, zmieszają mu się pojęcia o dwóch jakichś pieśniach, — a gdy nikt w domu, ani w szkole błędu tych mniemań nie poprawi, pozostanie mu w pamięci *Bogarodzica* świętego Wojciecha i *Bogarodzica* druga, wr. 1506 ogłoszona przy Statucie Łaskiego. A tradycja — jak powiedzieliśmy — jest potęgą. Jedni uczeni w książkach usuną zupełnie imię mniemanego autora świętej pieśni; święty Wojciech twórcą jej zostanie w wierzeniach ludu, poezya nie wyrzuci go z kart swoich, bez wspomnień o nim nie obejdzie się żaden poemat rycerski, bo święty Adalbertus prowadził zyki wojenne na polach grunwaldzkich, bo dotąd w katolickich świątyniach polskich uparta pieśń Wojciechowa powtarza się ciągle.

Tyle dotąd uwag moich o dobrej a sumiennej pracy autorów „Podręcznika.“

??

ZAPOMNIANY ŚPIEWAK MIŁOŚCI

przez

Antonia Pilackiego.

(Dalszy ciąg.)

Na początku erotyków Berwińskiego czytamy wiersz p. t. „Wstęp i koniec.“ Utwór ten rzeczywiście mógł być bądź prologiem, bądź epilogiem pieśni miłosnej poety; rzuca on pewne światło na stosunek tej pieśni do serca śpiewaka. Pisany jest niezawodnie w późniejszej porze życia, co widać nietylko z jego treści, ale i z formy prawdziwie kunsztownej. Dowiadujemy się w nim, że i „gorzkie wargi“ poety „piły z kielicha miłości:“

„Dość, że nim skrzydła oddałem na wiatry,
„Nim je brud życia opylił,
„Dość, że m niejedną perłę Kleopatry
„Z niejednej czary wychylił.

„I cóż, że na dnie dopilem się jadu,
„Który w świat będę wyciskał,
„Kiedym już tęcza drzemającego gadu
„Tyle przed światem połyskał.“

Niesłusznie oczernił się Berwiński, bo chociaż wierzymy mu, skoro tak sam powiada, że z cza-

ry miłosnej „dopił się jadu,” to jednak nieprawda, aby tę truciznę „w świat wyciskał.” Szczególniej przy porównaniu jego pieśni erotycznych z temi, w których w inne dziedziny uczuć i ideałów wkracza, łatwo się przekonać, że serce poety rzeczywiście goryczą przepełnione, względnie bardzo niewiele tej goryczy w pieśń miłosną wlało. Chociaż napisał w imienniku kobiety, że pieśni jego „są to kwiaty na zatrutej niwie,” to jednak kwiaty te zajaśniały życiem barwnem, ożywcem w słonecznej atmosferze ducha.

W ostatniej pieśni miłosnej „Ostatni Romeo” żegna „snów swoich huryskę,” a choć go ona błaga, aby w uściskach jej pozostał jeszcze, wyrzyna się z objęć kochanki, bo wzywa go życie szersze, bo miłość dla kobiety życia tego nie wypełni całkowicie. Szkoda, że brak czasu nie pozwala nam pójść za poetą, gdy zamknawszy „Księgę światła i złudzeń,” utworzył „Księgę życia i śmierci” i z księgą tą przeszedł do krainy innych natchnień, innych ideałów. Tam ponosił serce swe zbolące, a miłości pełne, za życia niezrozumiane, a po śmierci wzgardzone. Tu jednak, w tej krainie pieśni miłosnej, którą szybko za śladem jego natchnień przebiegliśmy, pozostawiliśmy dużo serca, dużo jasnych, słonecznych myśli, a znacznie więcej, niż w innych swych utworach — artyzmu. Tu jest rzetelnym poetą, wyłącznie poetą; tam może więcej publicystą, retorykiem, niż artystą. Pieśń miłosna Berwińskiego ufundowała najtrwalsze podwaliny dla jego nieśmiertelności w dziedzinie poezji naszej. Później i w poezji tej boski amor często pojawiać się zaczął w postaci niezdarnego mazgaja, który tylko płakać i narzekać potrafi, w sercu ma niemoc ukochania, a brak mu do lotu skrzydeł fantazji, w słowach jego brak prawdy i szczerości, a pozuje i stroi się w szaty aktorskie. Silna, zdrowa natura duchowa musi się ze wskresem od niego odwrócić i skierować wzrok ku natchnieniom poety, którego muza potrafiła „ogniem namiętności” żywcem wejść do nieba.

Pisać erotyki rzecz to dla rymotwórcy bardzo łatwa, ale jak trudno nadać im wyrazistą, indywidualną i oryginalną barwę twórczości. Pieśń miłości musi być szczera, jak szczerem powinno być samo to uczucie, a musi ona na pospolitość objawów w tej dziedzinie ducha rzucić rysy wyraziste, znamienne, a głębokie. Wszelkie pozowanie, wszelka nieszczerza emfaza, wszelka retoryka zabija w niej liryzm, zabija piękno. Poeta-erotyk musi być zawsze sobą, pieśń musi z głębin jego ducha ożywcem a gorącym źródłem wypływać. Wszelka sztuczność chłodem od niej powieje.

Muza Berwińskiego nie zerwała jeszcze z duchem romantyzmu, często nawet zbyt widocznie zapożycza się od niego. Duch, a niekiedy nawet forma Mickiewicza najsilniej w nich przemawia. Jego „Żeglarz” przypomina nam żywo „Świteziankę.” W innych utworach tu i owdzie w pojedynczych ustępach słychać echo pieśni miłosnej z „Dziadów.” Ogólnie jednak tło poezji erotycznej naszego śpiewaka stwarza nam świat odmienny od tego, który romantyzm stworzył, świat bardziej rzeczywisty. Amor poety zstępuje z wyżyny marzeń idealnych i potraça o żywe struny serca ludzkiego, lica jego krwią ludzką są zabarwione. Liryzm pieśni wytryska z samego życia, z pełni sił duchowych i cielesnych. Nie sięgnął jeszcze Berwiński głębiej do serca kobiety, odtworzył tylko zewnętrzną jej postać, gdzieś niegdzie w pewnym opromienieniu światłością ducha, ale to opromienienie wypływa raczej z natchnienia poety, niż z treści wewnętrznej istoty kobiecej. Trudno jednak czynić z tego powodu zarzut poecie. Psychologia duszy kobiecej zaledwie w kilku nieśmiertelnych twórcach poezji naszej jaśniejsze ukazuje nam oblicze.

W jednym tylko utworze Berwiński pokusił się na odkrycie nam wnętrza duszy niewieściej. Utwór ten nie należy już do dziedziny erotyków, charakteryzuje jednak wyobrażenia poety o miłości, a nadto ze względu na swą niezwykłą oryginalność, zasługuje na baczną uwagę. Poeta nasz ośmielił się popęlić tu niedyskrety, za którą nie wiem czy mu Apollo przebaczył, ale to wiem, że rodacy przebaczyć mu nie chcieli i do-

tań jeszcze nie chcą. Oto wszedł on do dziedziny uczuć miłosnych z uśmiechem niedowierzającego satyryka i uderzył biczem sarkazmu w fałsz i nieszczerłość tych uczuć. „Don Juan Poznański” napiętnował twórczość jego w pojęciu ogółu literackiego i nieliterackiego wieczystą i niewieczystą plamą. Jakiś złośliwy chochlik szeptał mi w ucho, że słusznie cierpiał poeta. Bo można sobie wyobrazić, jak sprawiedliwy gniew musiał zawrzeć w sercu niejednej panienki, gdy odnalazła w pieśni poety odzwierciedlenie swej niezbyt ponętnej postaci moralnej.

Również słusznym musiało być oburzenie młodzieńczego donżuana poznańskiego, gdy poeta wyrzekł o nim, że:

„Ogień wrzał w każdym krwi jego tętnie.
„Ogień wrzał w ustach, w spojrzeniu,
„Patrzył namiętnie, mówił namiętnie,
„Ona słuchała w milczeniu.”

Czyż przyzwoitem było drwić z zaklęć kochanka:

„Bo te zaklęcia i te kochanki
„To niebezpieczne są żarty;
„Proszę no wspomnieć na Świtezianki,
„Albo na widmo Astarty.”

Albo czyż należało drwić i powątpiewać o wierności kochanka:

„Dawniej, przyznaję, że było w modzie
„Kochać tak wiernie—zaciekle;
„Lecz dzisiaj trochę za zimno w wodzie,
„A za gorąco nam w piekle.”

Więc też nie przebaczone poecie, nie przebaczone nawet za głęboką prawdę psychologiczną i życiową, jaka w tym utworze jasnym światłem przyswiewca. A można było przebaczyć, chociażby za tak wspaniały ustęp:

„Choć ręce łamał, choć się zaklinał —
„Tak bardzo była ostróżna,
„Że i kwas pruski, że i puginał
„Wspominał po trzykroć—napróżno!

„Ale jak strasza nawalna burza,
„Im głębiej piorun swój kryje—
„Im dalej chwilę ciszy przedłuża,
„Tem głośniejsze w końcu zawyje;

„A gdy się wyrwie z czarnych chmur łona,
„W huku pioronów i grzmocie,
„Dąsa się, zżyma, —póki nie skona
„W ulewnym deszczu i—błocie;

„Podobnież u niej—burza, co skrycie
„W głębi się serca zbierała.
„Zabłysła wreszcie na ócz błękitach
„I w słowie „kocham“ zagrzmiiała!”

Dotąd kołacze się w umysłach krytyków i niekrytyków bajka, że „Don Juan Poznański” to pamflet, to gazeciarska opowieść, z plotek stworzona. Bajka ta powstała z bardzo prostego powodu. Oto utwór, o którym mowa, przedstawia zwierciadło, w którym bardzo wiele osób ujrzało swój wizerunek moralny. Wielu postaci i zdarzeń rzeczywistych był on wiernym odbiciem. Oblekanie niższych instynktów natury ludzkiej w szatę uczuć podniosłych i szlachetnych, nieszczerłość i obłuda miłości wyłącznie zmysłowej, fałszywe zaklęcia, przysięgi, a później ucieczka Don Juana, a wszystko to przedstawione w rysach dobitnych, jasnych, w słowach szczerych, silnych, śmiałych, osmagane biczem satyry, oto treść utworu, napozór banalna, ale wypowiedziana w formie niezwykle oryginalnej, z ekspresją, która w niektórych miejscach cynizmem się wydaje. Nie zrozumiano, czy nie chciało zrozumieć, że poeta nie szydził z miłości prawdziwej, szczerzej, ale z udanej, z tej, która na męty swej treści wewnętrznej zarzuca pozornie piękną szatę fałszywych blasków i zapałów.

Prawdziwą herezyą poetyczną wydaje się ustęp, w którym poeta żartuje, mówiąc, że młodzieniec zaklinał się:

„Przez krw, co z wszystkich serc dotąd ciekła,
„Wszystkich Gustawów-Wertherów;
„Przez wszystkie męki—przez wszystkie piekła,
„Dantów, Dantyszków, Homerów.”

Tak, byłoby to herezyą i cynizmem nie do wybaczenia, gdyby nie to, że żart odnosi się nie do wielkich postaci poezji romantycznej, ale smaga biczem satyry nadużycie wielkich uczuć, jakie postacie te wyobrażają, dla poziomych dążeń życiowych.

(Dokończenie nastąpi).

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

VII.

Rok czasu wiele zmian przynosi z sobą, tak w publicznych sprawach, jak i w życiu ludzi pojedynczych. Więzienie Maksymiliana wreszcie się skończyło. Po długich układach, warunki ułożono następujące: Arcyksiążę miał raz nazawsze zrzec się korony polskiej i nigdy tytułu króla polskiego używać nie będzie, co miał sam cesarz przysięgą stwierdzić. Nawzajem, Zygmunt na otwierającym się sejmie miał ogłosić powszechną amnestię i pokój, poczem następowało kilka jeszcze drobnych warunków. Dla odebrania przysięgi od cesarza, wysłano w Lipcu 1589 r. do Pragi Mikołaja Firleja, wojewodę krakowski, który po Tęczyńskim, zmarłym niedawno, tę godność otrzymał, i kardynała Radziwiłła. Gdy cesarz przysięgę wykonał, król w orszaku licznych panów udał się z Lublina do Krasnegostawu, by odwiedzić Maksymiliana. Gdy przybył do zamku, arcyksiążę nie chciał za niego zejść na przeciw niemu i zatrzymał się tylko na szczycie schodów. Król postanowił wreszcie sam wyjść pierwszy, ale marszałek Opaliński, dbały o powagę monarszą, rzucił się ku niemu, gdy wysiadał już z karocy i chwyciwszy go wpół oburącz, zawołał:

— Miłościwy panie, jako Bóg żywy, nie dozwolę, byście krok choćby postąpili, zanim arcyksiążę ku wam nie zniździe! Cóż to, król ma pierwszeństwa ustępować przed niekoronowaną głową? Pokąd żyw będę, tego nie dopuszczę!

I Zygmunt musiał ustąpić na takie dictum, wyrzeczone w obronie monarszej etykiety, a Maksymilian rad nieraż zszedł na dół ze schodów. Wspaniałe było przyjęcie na zamku i Zygmunta, odjeżdżającego, dał Maksymilianowi nadzieję rychłego uwolnienia, jeśli się tylko układy między dwoma dworami szczęśliwie ukończą.

Skoro też przyszła wiadomość, że nie tylko cesarz, ale i stany czeskie wykonały przysięgę, doprowadzono Maksymiliana w towarzystwie posłów polskich ku szlaskiej granicy. Skoro arcyksiążę zobaczył wysłany naprzeciwko niemu znaczny oddział wojska, wręcz oświadczył, że nie myśli składać przysięgi, gdyż przyrzeczenie, wymuszone w niewoli, nie obowiązuje. Daremnie biskup Goślicki przedstawiał mu, jak niegodnem jest zacnego księcia takie niedotrzymanie wiary, zwłaszcza, że sam papież ręczył za niego, wsta-

wiając się przez nuncjusza Aldobrandiniego, — arcyksiążę był głuchym na wszystkie przestrogi i upomnienia; aż wreszcie Zebrzydowski, starosta krakowski, człek niezmiernie porywczy i gwałtowny, porwał się do szabli, wołając z gniewem:

— Wasza książęca mość, jako posłowie wielkiego i znanego narodu, nie możemy pozwolić, by jego prawa jakkolwiek uszczerbek poniosły, i nie zezwolimy, choćby miał krwią zbroczyć tę szablę! Zobowiązaliście się, to dotrzymajcież zobowiązań waszych, a nie, to niechaj broń między nami rozstrzyga.

— Powstrzymajcie się, panie starosto, — ozwał się biskup Goślicki, stając przy nim — niesłusznie bierzecie ten czyn za obelgę narodu naszego; krzywdzi on bardziej dostojną osobę arcyksięcia, niż Rzeczpospolitą, której nietylko on przyniesie szkody, ile splami cześć znanego monarszego domu.

Gdy posłowie przybyli wraz z Maksymilianem do cesarza Rudolfa, ten zganił postępek brata, który przyrzekł później wykonać przysięgę, — i tak się skończyły ambitne zamiary rakuzkiego księcia.

W domu chorążego mało zmian zaszło w tym czasie. Pan Andrzej Wojnarowski osiadł od wiosny już na stałe w swej dziedzicznej wiosce Lipinach, leżącej o parę godzin drogi zaledwie od Bobrowic. Po śmierci bowiem pana Tęczyńskiego, nie chciał dłużej zostawać w służbie u żadnego z panów i zawiesiwszy na czas jakiś szablę, osiadł na roli, zwłaszcza że całą swoją pierwszą młodość spędził na wojaczce. Poznawszy się z chorążym, prędko pozyskał sobie jego życzliwość i niebawem stał się bardzo częstym gościem w Bobrowicach, wraz z panem Żelskim, który nie zaprzestawał swych odwiedzin. Czasem też i pan Ignacy zajrzał na dni kilka do domu, bo już teraz spokojność w kraju pozwalała mu częściej oddalać się od boku hetmana, — wówczas dom się ożywia i rozwesela. Bo młody roztrzęsaniec potrafił wszystkich rozruszać. Magdzia i Ewa, krzątając się przy domowych zajęciach, starały się zagłuszyć w sobie tęskne myśli. Magdzia lubiła bardzo, gdy pan Andrzej przyjeżdżał, gdyż z nim mogła przynajmniej rozmawiać o bracie, oraz zwierzać się ze swych niepokojów o niego. Te rozmowy wspólnie jakoś powoli tak ich zbliżyły ze sobą, że niebawem poczęła wyglądać z niecierpliwością jego przybycia i lajała, gdy się spóźnił.

Ewa zrazu pełną była najlepszej otuchy i choć pan Jan żadnej o sobie dotąd wieści nie dawał, niebardzo się tem niepokoiła, bo w owych czasach wiadomości i listy bardzo trudno dochodziły i czasem długo nanie trzeba było czekać. Zresztą, gdy tylko objawiła jakiś niepokój, Magdzia natychmiast gromiła ją i żartowała z jej przywidzeń i strachów.

Ale gdy po wydaniu Maksymiliana ogłoszono na sejmie powszechną amnestię, po której ustały sądy i ścigania, kiedy wielu zbiegłych za granicę powracało i złożywszy przysięgę na wierność, spokojnie po swoich włościach zamieszkali, a pan Jan wciąż nie wracał i nie dawał o sobie wiadomości, nietylko Ewa, ale i Magdzia poczęły się niepokoić i dziwić.

Jesień już rozpoczęła się piękna łagodna; wieczory prawie były tak ciepłe, jak letnie. Jednego właśnie takiego wieczoru wszyscy zebraли się pod dużą lipą przed gankiem: był proboszcz, pan Andrzej, a wkrótce nadjechał pan Żelski. Słońce chyliło się już za ciemną wstęgę lasów, było wracało z pola, a chorąży, tylko co powróciwszy od gospodarstwa, zmęczony, rozkazał podać miodu.

— Co tam słyhać, panie Żelski? — rzekł, obracając się do gościa, który zawsze prawie przywoził nowiny ze świata.

— Król nasz do Rewla się wybrał, dla widzenia się z rodzicem swoim, — ozwał się pan Tomasz, — a tymczasem Tatarzy spadli na Ruś...

— A czy wysłano gońca do króla? — zapytał chorąży żywo.

— A jakże, wysłano; dognał go już niedaleko Wilna, lecz król dalej pociągnął, a gdy hetman drugiego wysłał, to odpisał przez niego, że hetman i senatorowie powinni sami obmyśleć środki ku obronie kraju.

— I to ma być król! — zawołał chorąży oburzony. — Obojętnie jedzie dalej, gdy groźba straszna wisi nad krajem. A nie wiesz waszmość, czy Tatarzy wpadli licznym zagonem?

— Podobno dawno już nie widziano tak wielkiej nawały tatarskiej, jak teraz. Spustoszywszy okolicę, stanęli pod Lwowem i Tarnopolem i tamtejsi panowie na gwałt gromadzą przeciwko nim hufce...

— Ot, bieda, — mówił chorąży frasobliwie, — opierając głowę na rękę.

— To jest co się zowie periculum in mora, — dorzucił pan Żelski.

— I wartoż to było tyle trudów ponosić dla obioru tego Zygmunta, — ozwał się po chwili chorąży, — kiedy w nim już niema widocznie ani kropli zanej krwi jagiellońskiej, — pozostała tylko wodnista krew niemiecka, czy tam szwedzka, co na jedno wychodzi...

— Dlatego też niemożna winić tak bardzo tych, którzy za innym kandydatem do tronu obstawali, — ozwał się proboszcz.

— Tak, niemożna ich winić o to, — odparł chorąży, — lecz dla tych, którzy orężnie występują przeciwko koronowanemu królowi i którzy później nieprzyjaciółom kraju ułatwiają ucieczkę z więzienia, aby nowe zawichrzenia wszczynali, dla takich niema przebaczenia! Niema na nich co liczyć, bo okazując upór w złem, zdają się igrać z gniewem starszych, nie troszcząc się o to, że ich potępią wszyscy uczciwie myślący. Choćby się nawet zmienili napozór, jabym już im nie wierzył. Im się może zdaje, że nabroiwszy, naprawią wszystko, gdy nie oglądając się, rzucą się w jakąś śmiałą imprezę, która ma zagładzić niby ich dawniejsze sprawy. Ale tak nie jest, — to może wystarczyć ludziom lekkim, ale nie poważnym i doświadczonym, którzy dobrze wiedzą, co wart taki słomiany ogień...

Ewa na te słowa chorążego, ścisnęła tylko potajemnie rękę Magdzi i obie westchnęły smutnie. Wszyscy też umilkli na czas jakiś i nikt nie śmiał pierwszy przerwać ciszy.

Aż wreszcie pan Żelski zbliżył się do panien, aby je jak zwykle bawić swą rozmową, ale obie odpowiadały mu jakby z roztargnieniem. Od pewnego czasu zaczął on spostrzegać wreszcie, że Ewa niebardzo go chętnie widzi i jakieś niejasne domysły poczynają snuć się po jego głowie, ale że był z tych, którzy niełatwo tracą nadzieję, więc przybrał inną taktykę:

— Widziałem się teraz z kilkoma, którzy powrócili z zagranicy, — rzekł do Magdzi, ale żaden jakoś nie słyshał o bracie waćpanny...

— Kto wie, może on przybrał inne nazwisko, — odrzekła Magdzia umyślnie.

— Być może, nie wiem, — odparł pan Żelski — i dodał, zaczynając z innej beczki — czy wiesz waćpanny, że paru z moich znajomych, którzy byli na Szlązku i w niemieckiej ziemi, poženili się z Niemkiniami? Mają one być wielce urodziwe, jak słyse...

— A waćpan ich nie widziałeś? — spytał pan Andrzej.

— Nie, ale ludzie mi mówili, — odrzekł pan Żelski, spoglądając ukradkiem na Ewę, która nagle wstała i odeszła do pokoju.

Magdzia była tak zła na pana Tomasza, że ledwie raczyła półgębkiem mu odpowiadać, a gdy niefortunny kawaler się oddalił, rzekła półgłosem do pana Andrzeja:

— Nieznośny człowiek! Po każdej jego bytności mam tylko kłopot z Ewią, która, nasłuchawszy się jego nowin, Bóg wie co później sobie wyobraża.

— A ja myślałem, że pannie Magdalenie wpadły w oko jego wasy węgierskie, — rzekł pan Andrzej z uśmiechem.

— Waćpan także jesteś nieznośny! — odparła Magdzia, odwracając się od niego; — wiesz bardzo dobrze, że go obie nie lubimy... Choć co do jego wąsów — dodała przekornie, — to są bardzo

piękne i waćpan tylko przez zazdrość im przygania.

— Nie jestem tak chciwym, bym zazdrościł człowiekowi jedynej jego ozdoby.

— Wstydz się waćpan być tak złośliwym! — zawołała Magdzia, śmiejąc się mimowoli. — Ach ten Janek, ten Janek, co jemu się stało, że nie wraca? — dodała po chwili. — No, ale jak przyjedzie, dopiero będę lajać!

— Tak jak mnie onegdaj, — dodał pan Andrzej.

— O, jeszcze lepiej, choć i waćpanu jeszcze się należy za to, że mi dokuczasz.

— Co? Ja dokuczam? — zawołał pan Andrzej, składając ręce. Jestem przecie posłuszny jak baranek.

— Śliczny mi baranek! Ot, lepiej powiedz mi waszmość, gdzie Janek się obraca? Sama już nie wiem co myśleć.

— Panno Magdaleno, gdybym wiedział, zarazby waćpannę uspokoił, — rzekł pan Andrzej już poważnie. — Sądzę jednak, że jeśli go doszła wieść o zagonach tatarskich, to zapewne pośpieszył na Ruś wraz z innymi...

— To czemuż o tem nie doniósł? Wszak na wojnie ludzie giną, — tu głos jej zadrżał — gdyby broń Boże co się z nim stało... nawet byśmy nie wiedzieli o niczem... O mój Boże, mój Boże, głowę stracić przyjdzie z nimi! Tego niema, i nie wiadomo nawet co się z nim dzieje, a tu znów Ewcia smuci się, błędnie nie sypia po nocach i płacze!

Magdzia, wedle swego zwyczaju, chodziła szybko po komnacie i choć ze łzami w oczach, głowę miała podniesioną, a na twarzy wyraz stanowczy, a zarazem półdzielnny. Pan Andrzej śledził za nią wzrokiem, w którym świecił jakiś promień serdeczny.

— Panno Magdaleno, — rzekł z życzliwością — da Bóg, jakoś się to wszystko odmieni na dobre; nie trzeba zbyt się martwić. Dowiemy się przecież w końcu, co się z nim dzieje, — wszak człowiek nie kamień, co jak wpadł w wodę, to już po nim ani śladu; gdziekolwiek jest, ludzie o nim wiedzą. Nie smuć się waćpanna, — ciągnął dalej, podczas gdy Magdzia spojrzała nań z wdzięcznością za te słowa pociechy, — smutek odbiera siły do czynu. Kto ma takie usta, stworzone do uśmiechu...

— O, o, i waćpan już zaczynasz! Myślałam, żeś niepodobny do pana Żelskiego, który wciąż tylko o oczach czyichś praw. Nie lubię tego! Czyż to już o niczem lepszem nie można mówić, jak tylko o ustach lub oczach?

— Już nie będę, już nie będę! — zawołał pan Andrzej, — jakżeś waćpanna groźnie na mnie spojrzała, aż mię mrowie przeszło!

— Oho, niby to prawda, że waćpan jesteś tak bojaźliwy!

W kilka dni potem Magdzia, przechodząc przez sieni, spotkała się z panią Katarzyną, która tajemniczo skinęła na nią, by szła za nią. Dziewczyna, zdziwiona nieco, pośpieszyła do jej pokoju, lecz gdy się tam obie znalazły, zaczęła jejmość poczęła najpierw wdychać głęboko.

— Co takiego macie mi rzec, pani Katarzyno? — spytała Magdzia, niecierpliwie się.

— Oj, moje dziecko, źle się dzieje u nas, — trza coś radzić, bo ona się zamęcza...

— Kto się zamęcza? — spytała Magdzia niespokojnie.

— A któż, jak nie ta biedna panna Ewa, — odrzekła stara, wdychając. Nie śpi, nie je, i wciąż płacze po kątach; ty chyba nie widzisz, co się z niej zrobiło od pewnego czasu? Pamiętam, jak tu do nas przyjechała z panią kasztelanową, wyglądała istnie jak róża, a teraz żal patrzeć, z kamienia trzeba być, żeby się nie litować nad nią... Bieda i urwanie głowy, nie więcej...

Tu pani Katarzyna znów poczęła wdychać ciężko.

— A wszystko to pan chorąży narobił, — dodała z narzekaniem, — jak zaczął się gniewać, a zarzekać, że nie przebaczy, — ot i teraz dobra sprawal... Ten przepadł bez wieści, ta płacze, — ot i pociecha! Kto wie co się z nim dzieje teraz, może już wcale nie wróci; — to mówią, poczęła oczy ocierać fartuchem. — A ona to chyba żyć nie będzie, albo pójdzie do klasztoru, ja to widzę.

O, gdyby żyła pani chorążyna, nigdyby do tego nie przyszło, a z panem chorążym kto dojdzie do ładu? Jak zacnie krzyczeć, to człowiek podziemię by się skrył ze strachu.

Magdzia była tak zaniepokojona, że nie słuchając już dalszych narzekani, pobiegła do Ewy. Zastała ją samą, siedzącą przy otwartym oknie, przez które widać było pogodne niebo wieczorne, z zapalającymi się na niem gwiazdami. Zmrok już zapadał, pokój zalegał cienie, lecz blada twarz Ewy odcinała się wyraźnie we framudze okna.

Magdzia usiadła przy niej i objęła ją w pół, — Ewciu, — rzekła z mocą, tak nie może być; co ty robisz z sobą? Do czego to prowadzi? Nie rozumiem cię zupełnie, myślałam, żeś mężniejszego serca.... Więc nie umiesz, tylko płakać i upadać na duchu?

Ewa słuchała jej w milczeniu, wreszcie ozwała się powoli:

— Mylisz się, Magdzu, przestałam już rozpaczować i teraz, objawiając okiem całe moje życie, wiem dobrze, co mi pozostaje. Trzeba było dawno to zrobić, — ja zwróciłam się w początku z drogi obranej i srodze zostałam skaraną za to, iż zламаłam przyrzeczenie, złożone wpród przed własnym sumieniem, zanim je Bogu złożyłam. Teraz cierpię za to i cierpię sprawiedliwie; minęły już chwile pasowania się z sobą, pozostało już tylko silne postanowienie, by już nie schodzić więcej z onej drogi, którą znać mi Bóg przeznaczył. Widać, że życie i szczęście, wedle światowego zdania, nie było mi przeznaczone; zaraz u progu serce moje się zламаło. Byłaś świadkiem, jak długo broniłam się przed tem, co, jak przeczuwałam, miało tylko zranić i zamącić spokój serca, które wolne od wszelkich światowych burz, tak jako stworzone zostało, winno być ofiarowanym Bogu... Ale Bóg widział, że jeśli mi ustąpiła, to dlatego, że miałam nadzieję, iż go uratuję od zguby...

Tu głos jej zadrżał, ale opanowawszy wzruszenie, ciągnęła dalej:

— Teraz widzę, że to było daremne, że byłam tylko drobną słomką, co darmo chce walczyć przeciw prądowi, — została wyrzucona na brzeg, a rzeka dalej poszła, unosząc z sobą wszystko: nadzieję, wiarę, — wszystko... Cóż mi więc pozostaje? Oto poświęcić Bogu to życie, którego cały kwiat został już złamany i które już na nic się nikomu nie przyda na ziemi. Chcę też to uczynić bez zwłoki, żałując tylko, że już dawno tego nie zrobiłam...

Ewa, przestawszy mówić, obróciła głowę w stronę, gdzie widać było niebo gwiazdzone, a po twarzy jej toczyły się łzy ciche.

Magdzia milczała chwilę, aż wreszcie porwała się i zawołała w oburzeniu:

— Długo cię słuchałam, Ewciu, nie przerywając, bom chciała, byś wypowiedziała wszystko, co masz na duszy, ale już dłużej nie mogę zamilczeć! Więc to tak? jemu zalecałaś wytrwanie, a sama tracisz odwagę zaraz u wstępu. Powiedz mi, a jeśli on dotrzyma słowa, spełni to co przyobiecał przy rozstaniu i powróci ufny, że ty także dotrzymasz obietnicy, to kto wówczas okaże się przemieniercą? Kto z was dwojga miałby prawo czuć żal do drugiego, — ty, czy on? Pomyśl tylko o tem, — pomyśl, zastanów się!

— Cóż pocznę, kiedy ja już niczego dobrego się nie spodziewam, — odrzekła Ewa ze zwątpieniem. Tyle czasu upłynęło, a o nim żadnej, żadnej wieści, — nawet teraz, gdy wszyscy wrócili! Wszak jeśli by na wojnę poszedł, powinien był donieść nam o tem, abysmy się za niego modliły. Nie, on chyba albo zginął, albo zapomniał... Tak czy inaczej, dla mnie już niema miejsca na świecie!

— Ach, Ewciu! — zawołała Magdzia, napół z łzami, a napół z gniewem: — ty chyba umyślnie tak dręczysz mnie i siebie! Wiesz dobrze przecie, że w czasie wojny nie łatwo wieści docho- dzają... Widzę ja dobrze, że to pan Żelski tak cię natchnął swoim gadaniem. Ale pomyśl dobrze, czy to szlachetnie, czy tak się postępuje, gdy się miłuje prawdziwie? Jabym nigdy nie podobnego nie zrobiła!

— Jakto, a cóżbyś zrobiła, gdyby cię pan Andrzej zawiódł?

— Nie wiem z kąd ci na myśl przyszedł pan Andrzej, — odrzekła Magdzia, rumieniąc się nieco, — ale po pierwsze: ja wiem, że on mię nigdy nie zawiedzie, a zresztą... jabym nie dopuściła do tego...

— Przekonałaś się jak to łatwo! — odrzekła Ewa z goryczą. — Cóż poradzimy my obie, gdy ich inne siły wyrywają nam z rąk i ciągną kędyś na bezdroża...

— Toż trzeba walczyć z temi siłami, bronić się, a nie uciekać za kratę! — zawołała Magdzia. Pamiętaj, Ewciu, pamiętaj, że w twoim ręku leży teraz los i przyszłość Janka. Dawniej ja go jakoś umiałam przytrzymać i przywiązać do ścian domowych, ale teraz czuję, że mi się z rąk wymyka i że twoja tylko ręka potrafi go uchronić od tego, żeby się nie rzucił całą duszą w ono życie, mające i tak dla niego nadto powabu, a które schodzi tylko na szukaniu przygód i niebezpieczeństw i niesie kędyś na stepy, na dzikie pola, nazawsze odcinając od rodziny... Jeśli ty go nie będziesz umiała utrzymać, to się zaprzepaści gdzieś, tak jak jego ojciec...

Magdzia wyrzekła te słowa z dziwną na jej lata powagą, tak jak gdyby długie doświadczenie nią kierowało. Ewa milczała, ale zdawała się wahać.

— Zrób to dla mnie, Ewciu, — ciągnęła dalej Magdzia, — wstrzymaj się jeszcze jakie parę miesięcy, zanim zamkniesz się nazawsze za kratę, a potem rób co ci się podoba, ja ci nie stanę na przeszkodzie...

— Dobrze, zgadzam się, — odrzekła Ewa powoli, choć wiem, że przez ten czas nic się nie odmieni na lepsze...

(Dalszy ciąg nastąpi)

RUCH MUZYCZNY.

Teatr Lwowski wpłynął pełnemi żaglami na morze operowe i zwrócił na siebie uwagę zarówno krytyki muzycznej, jak i szerokich zastępów publiczności naszej. Istotnie, wykonanie każdej opery przez liczny i doborowy personel, umiejętne i szczegółowe, a nadzwyczaj staranne opracowanie dzieła, — wszystko to produkuje teatru hr. Skarbka stawia na wysokim poziomie i dostarcza nam prawdziwie artystycznych wrażeń. Jakże zaś są te wrażenia artystyczne i ile w nich znajduje się siły, świadczy o tem rzeczywiste powodzenie widowisk, urządzanych przez dyrekcję z niemałym nakładem, wielkiem znawstwem i niepospolitym artystem.

Do takich dzieł wybornie w teatrze lwowskim wystawionych należał „Dalibor“ Smetany, o którym pokrótce już wspominaliśmy. Sama opera, napisana z ogromnym talentem przez znakomitego kompozytora czeskiego, zawiera mnóstwo motywów bardzo pięknie przeprowadzonych. Cokolwiek monotony nastrój dzieła, dzięki przepysnej instrumentacji, wcale nie razi, owszem pociąga ku sobie powagą i głębokim wyrazem; liryczny pierwiastek, rozbrzmiewający w całej operze, ma wdzięk nieopisany. Te zalety sprawiają, iż opera zjednywa sobie coraz liczniejsze zastępy wielbicieli, a teatr jest zawsze przepełniony. Obraz, namalowany barwnie, nęci oko, — a koloryt melodyjny „Dalibora“ przemawia do ucha i miłe po sobie zostawia wrażenie a kto raz opery posłuchał, drugi raz na nią śpieszył i nowe w niej piękności odkrywał.

Do powodzenia opery przyczynił się p. Floryński, jako wykonawca partyi tytułowej. Artysta ze szczególniejszą precyzją i wytwornością postać tę odtworzył. To nie była zwykła tenorowa interpretacja partyi pod względem wokalnym, — to było subtelne wnikięcie w charakter dzieła, nadzwyczaj piękne wycieniowa-

nie całej roli, oddanej inteligentnie i bardzo szlachetnie.

W ogóle pobyt dłuższy p. Floryńskiego w Warszawie zapoznał naszą publiczność ze śpiewakiem pierwszorzędnej miary. Interpretacja artysty kojarzy w sobie przepyszne cechy wokalne, z doskonałym wypracowaniem aktorskiej strony roli. Trzeba widzieć p. Floryńskiego, jak w chwilach pauz wypełnia scenę miłą, czującą wybornie pomysłami rysami giestu, pozy i mimiki: wszystko zestosunkowane jest z sobą, zestrojone z sobą i szarmonizowane wysmienienie. Poważny i szlachetny w „Daliborze“, — był p. Floryński dziarskim i energicznie-charakterystycznym a dosadnym w roli Janka ze „Sprzedanej Narzeczonej“. W roli Eleazara w „Żydówce“ miał moc dramatyczną i wielką ekspresję. Wreszcie w „Pajacach“ i „Halce“ podobał się ogólnie, jakkolwiek rodzaj głosu znakomitego śpiewaka nie odpowiadał tym dwom ostatnim partyom. Każda z tych ról, nakreślona trafnie, pojęta rozumnie, a wykonana za pomocą wszystkich środków artystycznych, musiała zająć, zaciekać, a w rezultacie względem dzielnego artysty jak najlepiej usposobić.

Ulubieniec Pragi, stał się ulubieńcem Warszawy; żegnano też p. Floryńskiego z prawdziwym żalem, a bardzo gorąco: deszcz kwiatów spadł na znakomitego artystę, gdy po raz ostatni śpiewał Janka w „Sprzedanej Narzeczonej“.

Wystawienie „Halki“ dowiodło, iż teatr lwowski z pietyzmem traktuje dzieła muzyki polskiej. Partyę tytułową śpiewała p. Kasprończowa, z tym cechującym ją artystem, który prymadonnę operową sceny lwowskiej stawia na poziomie nader wyniosłym. Nie nie zaszkodziło operze, iż elektryczność w teatrze nie chciała funkcjonować i że „na gór szczytach“ paliły się żyrandole. Słuchacze nie dla oświecenia przyszli do teatru, ale dla zachwycania się cudowną muzyką Moniuszki. A było czego słuchać. Czaruująca pieśń ludowa, która się w „Halce“ wyraża tak pięknie, nastrojała wszystkich rzewnem uczuciem. Liryzm tej muzyki, przechodzący w dramatyczny nieraz charakter, pociąga. Całość dzieła od wewnętrznej jego wartości do zewnętrznych efektów przemawia do słuchacza i nastroja go serdecznie; a losy tej dziewczyny z ludu wzruszają do głębi.

Wszystkie najpiękniejsze w operze ustępy tchną melodyą ludową, którą mistrz, jak tkliwa matka do piersi tulił, karmiąc najpożywniejszym pokarmem swego natchnienia. Umiano te ustępy w wykonaniu utrzymać w należytym charakterze. Rytm góralskiej muzyki wypadł w interpretacji artystów lwowskich z niemałym zacięciem. P. Kasprończowa zarysowała postać Halki kochającej i tęsknej bardzo ładnie. Arya „Jako od burzy krzew połamany“ rozlegała się szczerą rzewnością; nagle gdy Halka poznaje Janusza i z piersi jej wypada namiętny okrzyk: „O mój sokole, o słonko me!“ — artystka z dużym zasobem uczucia ten wybuch wyrzuciła w przestrzeń, budząc silne wrażenie. Cała fala burzliwej duszy, rozkołysanej miłością, tętni w tym wybuchu. Duet z Januszem, zakończony śpiewem: „Tam znowu nam szczęście i raj“, wypadł doskonale.

P. Floryński, jako Jontek, kochał i czuł gorąco. Znakomity artysta uwydatnił bardzo dobrze ten ból, jaki targa jego wnętrznościami i rwie w kawały jego serce; nawałnice gniewu, poezję tęsknoty i żalu wyrzeźbił artysta z umiejętnością wielkiego śpiewaka. Wsunęła się też postać Jontka naprzód i była pociągająca, zawierając w sobie jakąś dzielną zamiętną, z którą smutnemu kochankowi Halki było wcale do twarzy. Ironia zamknięta w słynnym duecie: „O dobry panie!“ tryskała mocą i trafem znaczeniem sytuacji. W ogóle, pomimo iż partya, jak to nadmieniliśmy wyżej, nie leży w głosie artysty, Jontek przemawiał do duszy słuchacza, a niezapomnianą dumkę: „Szumią jodły“ musiał p. Floryński powtarzać, tak nią ujął słuchaczy.

P. Szymański śpiewał Janusza; jest to baryton o bardzo szlachetnym brzmieniu, o prawidłowej emisji i dobrej szkole.

P. Bohusówna, jako Zofia, włożyła w wykonanie cechujący ją zawsze wdzięk i prawdziwy artyzm. Partię stolnika śpiewał p. Jeromin, artysta rozgłośny i nadzwyczaj wyrobiony. Bas to miękki, aksamitny, miły bardzo i dzwiczny. Podobną się też śpiew p. Jeromina nadzwyczajnie. Chóry i orkiestra pod wodzą dyrektora Jareckiego. sprawiała się, jak zwykle, doskonale.

W mieście naszym istnieją kursa dla artystów prowincjonalnych, założone przez ks. Kowalskiego. Kursa te rozwijają się bardzo pomysłnie pod kierunkiem ks. Gruberskiego. Właśnie w Lipcu odbył się kurs taki i przyniósł uczniom niemało korzyści. Ks. Gruberski wykłada śpiew gregoriański i sposoby wykonywania kompozycji kościelnych; profesor Makowski udziela teorii śpiewu i zasad muzyki; oprócz tego p. Łysakowski, organista kościoła św. Antoniego, uczy gry na organach. Myśl ta, w czyn wprowadzona, zasługuje na najgorętsze uznanie.

Lato bieżące w Dolinie Szwajcarskiej rozlega się odgłosami orkiestry hamburskiej p. Quasta, kapelmistrza zdolnego i sumiennego. Koncerty w Dolinie dawane, zwłaszcza symfoniczne, posiadają niemało przymiotów dobrego układu programu i poprawnej interpretacji.

Niedawno urządzono w Dolinie wielki koncert pod dyktando pp. Noskowskiego i Quasta. Obfity program wypełniły utwory: Moniuszki „Patria”, Noskowskiego „Livia Quintilla”, Gounoda Wagnera, Czajkowskiego, Litolffa. Publiczność przyjmowała orkiestrę i dyrektorów sympatycznie.

A. Dobrowolski.

Szczeliną w okiennicy...

(SONET).

Szczeliną w okiennicy do izdebki mojej
Słonecznego promienia wpadła wstęga złota—
Skrzy się, błyska, tysiącem kolorów migota,
I miliardem atomów drgających się roi...

Nim oko się w ciemnicy z dnia gościem oswoi,
Jakże długo nań patrzeć przychodzi ochota!
Widzi się uchylone nowych światów wrota,
I człek, przed tem zjawiskiem, jak olśniony stoi...

Przyrodol! tajemnicznych cudów rodzicielko!
Co w tobie wielbić trzeba?—czy potęgę wielką
W twych morzach, w gór granitach, w prze-
[strzeniach bez końca?

Czy tonać w zachwyceniu nad rosy kropelką,
Gdy na trawki dżble drobnem kołysze się lśniąca?
Czy nad pyłków tych rojem w jasnych blaskach
[słońca?...

Wiktor Dzierżanowski.

POCIESZENIA.

OPOWIADANIE

przez

Aleksandrę Łapińską.

(Dalszy ciąg).

Na ganku stała ciotka Wierzyńska i Władzio. Ciotka ujrawszy zbliżający się powóz, zaczęła zbiegać ze schodków, Julcia wysiadła szybko i zanim matka ostatniego dotknęła stopnia, już ją ona w ramiona chwyciła.

Władek zaczął wyskakiwać obok, wołając.

— Teraz ja, Julu, teraz ja, ja, ja!

A ona od twarzy matki usta na chwilę oderwała, uradowane oczy obróciła na brata, jednym ramieniem szyję jego objęła i jednocześnie i Władka przytuliła do siebie.

Ja przez chwilę stałem na uboczu, ogarnęła mnie bowiem jakaś nieśmiałość, ale Julcia już to spostrzegła, żywo przystąpiła ku mnie i za rękę mnie biorąc, spytała:

— Poznaje mamusia kto?

Ciotka zaczęła szybko powiekami mrugać. Widać było, że się zastanawia. Raptem twarz jej się wzruszyła ogromnie, zacerwieniła się i trochę stłumionym głosem zawołała:

— Lucyan!

— Tak, ciciu,—odpowiedziałem i pochyliłem się do jej ręki, a ona głowę moją do piersi przycisnęła i zaczęła całować.

Nie mówiła nic, tylko oddychała coraz szybciej, coraz wyżej, i piersi jej załkały.

Uczułem, że mnie coś za gardło chwyta, przymknąłem oczy i doznałem złudzenia, że to pocałunki matki mam na włosach.

Ciotka opanowała wzruszenie i choć jej łzy jeszcze po twarzy płynęły, ale już uśmiechając się powiedziała:

— Moje dziecko drogie nareszcie, nareszcie! Ach Bóg ci zapłać!

Ale ja głowy nie podnosiłem, bo mię ogarnął nagle wstyd, że o niej tak zapomniał, więc tylko powtarzałem raz po raz:

— Niech mnie ciocia wybaczy, moja ciciu, bo nie śmiem oczów podnieść!

— Dobrze, wybaczę później, ale teraz pokaż się!...

A kiedy głowę podniosłem, to ona zaczęła mi się przyglądać i tak, jakby w twarzy mojej czegoś szukała.

— Podobny do ojca, tylko piękniejszy, piękniejszy,—powiedziała półgłosem.

A potem roześmiała się, bo ją radość ogarniała coraz bardziej, żywo zwróciła się do stojącego opodal syna i zawołała:

— A to Władek, Lucyanie, tyś go nie znał, prawda?

Władek mógł mieć lat dziewiętnaście, dosyć był wysoki, ale szczupły, twarz miał ogorzałą, czoło tylko bieleło mu się nad brwiami. Rękę do mnie wyciągnął i nie mówiąc, uściśnął serdecznie. Widać, że jeszcze śmiałości do mnie nie nabrał, ale sercem już się zbliżył.

Julcia miała słusność, kiedy mówiła, że mi dobrze będzie z nimi; ja już teraz czułem jakieś ciepło w duszy, jakąś pocziwą radość i byłem sam sobie miłszy.

A gdyśmy wszyscy do stołu zasiedli na wendzie oplecionej winem, to aż się zdziwiłem, z jak we mnie wesołości tyle?

Ale bo też gwarno było przy tej wieczery. Każdy opowiadał, każdy pytał, tak, że chwilami mówiliśmy wszyscy razem.

A moje oczy coraz częściej biegły do Julci.

Siedziała naprzeciwko mnie, już bez kapelusza naturalnie, miała główkę bardzo kształtną, włosy gęste, rozdzielone z boku, opadające trochę na czoło. Szczególniej była ładna, kiedy zwracała się do kogo twarzą tak, że ja w profilu ją widzieć mogłem: warkocze miała upięte nisko w węzeł, a z pod niego wychylały się krótkie zwinięte w pierścień włosy. Była jakaś ogromna kobiecość w tej jej główce, prostota i dobroć wielka.

— Tak, tak,—myślałem, patrząc na nią,—ona dobrze wybrała; bo kiedy stanie przy łóżku jakiego chorego, to choćby mu ciała swoją medycyną wyleczyć nie zdołała, ale z pewnością duszę mu uzdrowi tym aniołem, którym tchnie cała jej postać.

Ciotka zauważyła widocznie moje przyglądanie się Julci, bo pochyliwszy się ku mnie, spytała:

— Czy nie uważasz, że ona do matki twojej podobna?

Ciotka miała słusność; teraz dopiero spostrzegłem, że rysy Julci najdoskonalej przypominały matkę moją, która umarła podczas pobytu mojego zagranicą.

I ta zapewne śmierć jej była głównym powodem zapomnienia mojego o rodzinie.

Wkrótce po pogrzebie matki, na który ani ciotka, ani żadne z jej dzieci przybyć nie mogło, wskutek groźnej choroby wuja Wierzyńskiego, ja wyjechałem ponownie z kraju, bo takie było życzenie mojego ojca. Chciał abym wiedzę zdobywał na zagranicznych uniwersytetach, nie ufając krajowym. Czy dobrze na tem wyszedłem, wątpię, bo życie wielkoświatowych stolic nauczyło mnie i tego, czego zapewne ojciec dla syna nie pragnął, i poruszyło mnóstwo fałszywych strun w mojej duszy.

Najgłośniej dzwigał sybarytyzm i pragnienie rozkozy, a tuż obok raziło dysonansem uznanie dla wszystkiego, co zwyciężając ciało, wznosi się po nad zmysłowość; bardzo silnym głosem odzywało mi się w duszy lekceważenie dla własnego społeczeństwa, które takimi calowami krokami podąża za szalonym pędem ludzkości; a jednocześnie niby pobudka bojowa grało mi w duszy poczucie wielkich obowiązków, leżących na barkach takich jak ja jednostek, młodych i bogatych. Ale właśnie dlatego, że obowiązki te ocenilem jasno, dojrzałem i odczułem cały ich przeraźliwy ciężar. Kuć skałę, aby innym zrobić wyłom, aby inni dalej szli, nie czułem się na siłach. Byłbym z rozkoszą patrzył na taką pracę bliźnich moich, ale własnych ramion żałowałem; były przecież takie piękne, a każde piękno szanować należy, no i sofistycznymi głosami uciszałem cęprędy tamte niezbyt głośne tony. Ostatecznie altruizm ustąpić musiał egoizmowi, bo ten zrozumiałszą śpiewał piosenkę i jego głosu tylko słuchając, uszy zatkałem na wszystkie inne struny mojej duszy, które pokurczyły się widocznie, zwinęły na kamuszczyk małeńki i gdzieś na dnie serca spoczęły, rzadko, już tylko ciężarem swoim dając znać, że istnieją.

Aż tu pod dachem ciotki najniespodziewaniej rozprężyły się i cichymi głosami wtórowały słowom Julci, kiedy nam opowiadała o swem życiu studenckiem.

Ona i jedna z koleżanek mieszkają razem, wstają rano i od szóstej już zabierają się do pracy. Potem biegną na uniwersytet: słuchają, notują, radeby w duszę wchłonąć świetne wykłady francuskich profesorów. I znów wracają do domu. Tamta bierze się do przyrządzania obiadu na maszynce, bo w życiu codziennym wybrała sobie dział ewangelicznej Marty, a Julcia siada do fortepianu, śpiewa i gra. I ulata z pamięci uniwersytecka aula, profesorowie w togach i różnoplemienni koledzy, a dusza buja i buja na skrzydłach pieśni, aż nareszcie i obiad gotów. Ciało i umysł wypoczęły, zapomnieli o codziennych trudach i z nową ochotą biegną ku nim. A tej ochoty trzeba zebrać dużo, aby starczyło do połowy nocy.

I tak dzień za dniem pomyka naprzód, naprzód i coraz bliższa ta przyszłość cicha, pracowita i użyteczna.

Już się potem Zahorza nie opuszcza, tylko w niem siedzi, swoich biedaków leczy, i duszę i ciało, co trzeba, co się trafi. Stefka od czasu do czasu przyjeżdża i zwozi laury, któremi ją wienią narodowe sceny; Władek się żeni, gospodaruje w Zahorzu, a ona i matka mieszkają sobie razem i złotówkami wysypanymi z wieśniaczych chustek płacą światu za to, że je żywi i odziewa.

I Julcia tak marzy głośno, ciotce Wierzyńskiej twarz się rozpromienia, Stefka ślubuje, że tylko wawrzyny rękami rodaków składane, na głowę kłaść będzie, a obcych bogów nigdy nie poszuka, Władek jak najrychlejsze obiecuje projekty Julci w czyn wprowadzić i na bratową długo czekać nie da, i weselą się wszyscy tą przyszłością, którą, zda się, na pewnych tworzą podstawach i w duszy mają jakieś słońce, co im jasność na twarz posyła.

A struny w moim sercu tak się skarżą, tak skarżą.

Julcia umiała widać patrzeć na twarze ludzkie, bo skoro tylko na mojej oczy zatrzymała, wnet promienne uśmiechy zbiegły z jej ust, i rzekła:

— Ale my niedobrzy o sobie tylko mówimy, a Lucyana projektów nie znamy jeszcze. Powiedz-że nam braciszku i ty do czego dobrego tam dążysz?

To było przecież bardzo proste pytanie, a jednak ja, bywalec, który w rozmowie z żadną kobietą gruntu z pod nóg nie traciłem, nie zdobyłem się w pierwszej chwili na odpowiedź. Coś się tam w głębi mojej duszy szarpnęło, coś mię zabolowało gwałtownie, zdawało mi się, że raptem pogasły wszystkie myśli w mojej głowie.

Ale zbudziły się one znów, gorzki uśmiech na usta posłały i taką podyktowały mi odpowiedź:

— Ja, siostrzyczko, mam tyle chwastów w sobie i przed sobą, że poznikały mi wszystkie drogi, jakie gdziekolwiek prowadzą.

— Mój Luciu, — zaczęła wtedy ciotka, — z ludźmi różnie się dzieje. Częstokroć najczystsze złoto przysypane bywa taką grubą warstwą kurzu, że i przypuszczać niepodobna istnienia pod nim takiego bogactwa. A ono jednak jest, i byle tylko powiał nad niem świeży jaki prąd, byle przez odrzucić szary pył, złoto zaświeci.

— Wam młodym, — mówiła dalej, — którzy z domu wyjść musicie na otwarte pole, pod gołe niebo, łatwiej te pyły zasypują duszę, bo one wieją na każdą gościńcu. Jeden wiatr niesie z sobą pszenną mękę, co żywi i daje zdrowie, a inny, równie silny, wieje zarazkami choroby; a wy macie silne płuca i wdychacie wszystko. Jak się to tam w głębi ułoży, co pierwsze padnie na złoisty kruszec duszy, dobre ziarno czy złe, od tego zależy przebieg pierwszej młodości, ale nie całego życia. Ztąd u was często śmiało wzloty i bohaterskie marzenia, i równie często nurzanie się w mętach. Ale nikt nie ma prawa ani wawrzynem was koronować, ani kamieniem na was ciskać, bo to jeszcze nie wasza dusza, nie wasze ja stoi przed ludźmi, to dopiero naleciałości obce, które na żyzny padając grunt, zawsze wyrastają bujnie. Dopiero jak się rozpatrzą w gościńcu, jak odróżnicie białe ziarenka od mikrobów, czyste powietrze od dusznego, wtedy dopiero od was samych zależy wartość waszego życia. Czegóż więc ty, chłopcze dziś już opuszczać masz ramiona, kiedyś ich jeszcze nie podniósł, kiedy nie wiesz, jakie siły w nich się może mieszczać. Takie chwasty, o jakich mówisz, łatwo poza siebie cisnąć, bo one i czasu nie miały zakorzenie się głęboko.

— A jakie ja mam na nie lekarstwo! — zawołała Julcia, — ani się domyślasz! Skarby prawdziwe!

Spoważniał wyraz jej twarzy i dodała:

— To listy cioci Karłowicz, Lucyanie, pisane do nas podczas pobytu twojego zagranicą. Jutro dam ci je do przeczytania, a mam ich dużo, dużo!

I znów uśmiechać się zaczęła, a ja czułem coraz większą słodycz w patrzeniu się na nią.

Wieczera już była skończona, więc wstaliśmy od stołu. Ciotka poszła gdzieś do gospodarstwa, a my czworo z werendy zbiegliśmy na łąkę, która rozścielała się pochyło u podnóża domu i zakończona w półkole posadzonemi świerkami, tworzyła szeroki, zielony taras.

Władek miał właśnie udać się do stajni, aby rozporządzić na dzień jutrzejszy robotę dla fernalskich koni, więc poszliśmy z nim razem.

— Patrz, Lucyanie, to moja Strzała! — objaśniła mi Julcia, kiedy, wszedłszy do stajni mieszczącej konie cugowe, zbliżyła się do jakiejś klaczy, bieluchnej jak mleko.

Ta wygięła szyję i mały kształtny łebek zwróciła ku swej właścicielce.

— Mój konik, mój kochany konik! — mówiła Julcia, gładząc gęstą, bardzo puszystą grzywę wierzchowca. — Nie zapomniała Strzała o pani? co? nie zapomniała? Dobra Strzała!

A klacz jakimś kocim ruchem wtulała łeb pod ramię Julci i poruszała nim tak, jakby przyznawała słusność słowom.

— Masz tu cukier, daj jej! — zawołała Stefka, podając siostrze kilka kawałków.

Strzała delikatnie zebrała różowemi wargami cukier z ręki Julci i zaczęła nim głośno chrupać.

— Pojedziemy sobie jutro wszyscy na spacer Lucyanie, dobrze? — zaproponował Władek.

Ucieszyłem się ogromnie; dawno nie jeździłem konno, a ten sport był mi ze wszystkich najulubieńszy.

— Aktórego mi przeznacysz wierzchowca? — spytałem rozglądając się po stajni.

— A Ingomara, — odpowiedział Władek i poprowadził mnie do wspaniałego ogiera, czarnego jak noc.

Zacząłem się nim zachwycać. Teraz nawet, choć stał do żłobu przywiązany, zdradzał temperament iście stepowego konia, miał oko płomienne i bardzo ruchliwe nozdra i uszy.

— On trochę twardy w pysku, ale jakiego ma kłusa! — unosił się Władek, — zobacz, Lucyane jutro. A o której chcecie jechać? Żeby tak o szóstej, to i jabyśmy mogli!

Naturalnie obiecaliśmy zastosować się do niego.

— Ale i Stefka z nami pojedzie? — zacząłem, wsunawszy rękę pod ramię idącej obok mnie młodszej siostrzyczki, kiedy już wyszliśmy ze stajni.

— O ze Stefci zapalona amazonka! — objaśniła Julcia, — po całych dniach gotowa siedzieć na koniu!

— Cóż, kiedy jeszcze własnego nie mam, — zaczęła się skarżyć przyszła artystka.

— A bo ci żadnym dogodzić nie można, — odrzucił Władek, — masz całą stajnię do wyboru, a na żadnego się nie decydujesz.

— A bo czego mi Ingomara wziąć nie dasz? — zadąsała się, wysuwając czerwone usteczka.

— Co? Ingomara? — zawołałem ze strachem nieomal, — toż to szalony koń być musi!

— A o widzi Lucyane, z nią to tak! — usprawiedliwiał się Władek.

— Kiedyż ja najlepiej lubię właśnie szaloną jazdę, — tłumaczyła się mała.

I tak rozmawiając, szliśmy gromadką do domu.

Ciotka siedziała na werendzie oświetlonej ogrodową lampą i rachunkiienne wpisywała do książeczki.

Usiedliśmy sobie na schodkach, i aby jej nie przeszkadzać, półgłosem gawędziliśmy razem. Stefka podała nam koszyczek z truskawkami, który postawiliśmy między sobą na stopniu, aby każdemu z nas łatwo było do niego sięgnąć, i zaczęliśmy się wyprzedzać w wybieraniu największego owocu. Często dwoje rąk chwyciło jedną i tę samą truskawkę, a wtedy śmieliśmy się, coby prędzej pochwyciły zdobycz niosąc do ust.

Księżyc świecił nad ciemnymi świerkami, i mnóstwo gwiazd migotało na niebie.

Stefka porzuciła jedzenie truskawek, zeszła na niższy schodek, siadła na nim i głowę oparła na kolanach Julci.

Po chwili odsunęliśmy koszyczek i za przykładem Stefci w milczeniu patrzyliśmy na niebo. Julcia pogładziła dłonią włosy siostry i pochyliwszy się, pocałowała ją w czoło. A potem zaczęła opowiadać, jak w czasie takich księżycowych nocy, kiedy jeszcze w Genewie była, gwałtem niemal napędzała się do książki. Zokna jej pokoiku widać było Mont-Blanc, a kiedy stał cicho i niebotyczny w srebrzystym świetle, ze swoim białym szczytem i gwiazdy nad nim mrugały, to widok był tak piękny, że prawie magnetyczną siłą przytrzymywał żrenice. A wtedy właśnie szły najcięższe egzamina, więc trzeba było rolę spuszczając, aby oczy od książki nie uciekały ku górze i ku niebu.

Kiedy to mówiła, to mnie znów się przypomniało, jak i ja raz pod czarem podobnej nocy, będąc w Wenecyi, przesiedziałem do rana na Piazzecie, powtarzając sobie przytem ciągle, że należy już wracać do hotelu.

Rozgadałem się jakoś przy tem opowiadaniu i powędrowałem ku innym znanym mi miejscowościom północnych Włoch. Pokazało się, że w wielu z nich była i Julcia.

— A to widziałas? A to pamiętasz? — wymieniało się coraz częściej i — galop, galop, przebie-

galiliśmy razem przeróżne znane i nieznane okolice.

A wtem do naszej żywej rozmowy wmieszał się melodyjny głosik Stefci, która podniosła ciemną główkę i z jakąś słicznie naiwną miną zaczęła:

— „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem rozwieszone Włoch błękity?“

„Nad jeziora włoskim brzegiem czy pamiętasz Alp granity?“

Ona mówiła jakby pół żartem, niby nas prze-drzeźniając, ale takie to było ładne, tak się na czasie z tem odezwiała, że zacząłem ją głośno wychwalać. A jaka sprytna, a jaką ma dobrą pamięć, a jaka inteligentna z niej panienka.

Stefka na to zapłonila się, i w oczach jej mignęły światelka.

— Ja umiem wszystko, co piękne, — odpowiedziała półgłosem.

— No to zadeklamuj-że mi coś najpiękniejszego! — prosiłem, gładząc jej rączkę o kolana Julci opartą.

— Tylko już nie dziś, nie dziś, — odezwiała się w tej chwili ciotka.

Skończyła rachunki i przyszła do nas.

— Już trzeba iść spać, moje dzieci. Wy po drodze, zmęczeni, Juluchna dwie noce w wagonie spędziła.

Więc wstaliśmy i zaczęliśmy sobie mówić dobranoc. Ciotka, kiedy ją w rękę całował, znów mi, podobnie jak przy powitaniu głowę do piersi przycisnęła i rzekła:

— Śpij-że dobrze mój chłopcze i niech ci się zdaje, że jesteś pod dachem rodziców.

Stefcia rzuciła mi się na szyję, bo już przyjaźń między nami była postanowiona i zawołała:

— A jak to dobrze, że sobie jutro powiemy: „dzień dobry.“

Przyznałem jej z głębi serca słusność.

— Tak, tak, to bardzo dobrze, że sobie jutro powiemy: „dzień dobry.“ — powtórzyłem za nią i z temi słowami zbliżyłem się do Julci.

A kiedy jej rękę objąłem dłonią i uściśnałem mocno, wtedy jedna z tych moich biednych pokureczonych strun zadźwięczała mi w duszy, i za jej głosem idąc powiedziałem:

— Moja siostrzyczka kochana.

A że struna odezwiała się cicho, więc i ja słowa jej powtórzyłem tak, że je tylko Julcia słyszała.

I znów ten piękny, światowy Lucyane zadziwił się we mnie, bo nagle serce mi zabiło i na twarzy uczułem ciepło rumieńca.

A ona stała przede mną, cała w księżycowym świetle z uśmiechem na ustach i zaczęła pytać i tak jakby prosiła przytem:

— Dobrze ci będzie w Zahorzu, prawda, że dobrze?

— Jak dotąd nigdzie i z nikim, — odpowiedziałem szczerze.

Ciotka wzięła mnie pod ramię i poprowadziła przez sien, po schodach na górę, gdzie był pokój dla mnie przeznaczony. Zapaliła świecę, postawiła ją na stoliku, poprawiła bukiet stojący w wazonie, rozejrzała się w około, czy wszystko było tak, jak chciała i raz jeszcze serdecznie ucałowałam mnie i dobrej nocy życząc, wyszła.

Stałem w oknie i zobaczyłem tę samą łąkę ze świerkami, rozcielałą się przed werendą. Przystawiłem sobie krzeselko, usiadłem i głowę oparłem na dłoni. Księżyc świecił wysoko małą srebrzystą tarczą i cicho było zupełnie, jak tylko na wsi bywa.

A ja zacząłem doznawać złudzenia, że to światło księżycowe płynie mi w duszę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z Krakowa.

Ustroił się w zieleń nasz piękny staruszek, ustroił się piękniej niż kiedy, bo też dziwnie bujną i zieloną okazała się wiosna tegoroczna. Śród majowego wienca plantacyj naszych tkwiły jak drogie kamienie stare gmachy Krakowa, ozłoczone i ubarwione jasnymi blaskami słońca; gdy zaś rozkwitły jeszcze tysiące róż szkarłatnych i purpurowych, zdawało się, że całe miasto stroi się na uroczystość jakąś. O tej największej ze wszystkich tegorocznych uroczystości wspomnieliśmy mniej lub więcej szczegółowo pisma nasze, — co jednak w niej najpiękniejsze było, to ów nastrój chwili, jednoczący serce tysiące, to się opisać, ani odmalować nie da, to uleciało i rozplątało się jak woń kwiatu wspaniałego, jak dźwięk dzwonów lub szum fali nieuchwytny. My więc, nie kusząc się o odtwarzanie minionej rocznicy, chwycimy raczej inne mniejsze, ale cenne objawy życia i myśli społeczeństwa krakowskiego. Skromnie napozór zapowiadała się ogłoszona w drugiej połowie Maja wystawa haftów makowskich, której przytułku udzieliła gościnna jak zawsze, gdy idzie o cele dobra publicznego — „Czytelnia dla kobiet“ w domu „pod Rakiem“ (szczęściem godło to nie jest bynajmniej stosowne dla określenia działalności „Czytelni“, kroczącej nieraz aż do zbytku chyżo na drodze postępu!) przy ulicy Szpitalnej (także nazwa nieobiecująca i obecnie bardzo nie stosowna dla ulicy, prowadzącej do Nowego Teatru, mieszczącej zaś w jednej ze swych połaci wspaniałe gmach Kasy oszczędności.) Otóż wystawa haftów zgromadziła tak miłą niespodziankę całym gromadom zwiedzających ją, że podzielić się musimy tem wrażeniem z czytelnikami „Bluszcza“, temi zwłaszcza, co w wędrówkach letnich do Zakopanego, Krynicy i t. p., lub w czasie chwilowego pobytu w Krakowie, spotkać się mogą z wyrobami górąlek z Makowa.

Dzięki staraniom wydziału krajowego, a pomocy ludzi dobrej woli, otworzono w tej pięknej miejscowości szkołę, dostarczającą materiału, wzorów opracowanych na motywach czysto ludowych, oraz bezpłatnej nauki kobietom i dziewczętom, które tym sposobem, nie opuszczając domu, nie cisnąc się w dusznych miejscowościach fabrycznych, mają zarobek coraz wzrastający, w miarę jak się zwiększa uznanie dla tych wyrobów gustownych, oryginalnych, nęcących oko, a zadawalniających dokładnością wykonania. Cała salka „Czytelni“ zapełniona i zawieszona była najrozmaitszymi białymi i kolorowymi haftami, na kanwie, płótnie, suknie, batyscie, a nawet jedwabiu i aksamicie; rozmaite więc torebki, woreczki, paski wyszywane, makaty i makatki, obrusy i serwety, chodniczki stołowe (t. zw. Tischläufer), serdaki, kurteczki dziecinne, ekrany nawet, kołnierze, chusteczki i t. p. i t. p., a wszystko takie jasne, wesołe, starannie, a czasem i bardzo delikatnie wykonane, że aż radość brała na myśl, jak to prędko i łatwo się przyjęło w skromnym zakątku ziemi naszej, zużytkowując ukrytą, a tak często zaniedbywaną zręczność włóścian naszych. Podziwiali też wyroby makowskie zgromadzeni na otwarciu wystawy dygnitarze miasta duchowni i świeccy: prezydent miasta, delegat namiestnictwa, rektor uniwersytetu (ks. Knapieński), nie gardzący i temi objawami pracy kobiecej, co mu nie przeszkodziło życzliwie przywitać słowem garnące

się w mury wszechniczy adeptki szerszej i wszechstronnejszej wiedzy. Młodzi i starsi z upodobaniem przyglądali się wdzięcznym, a tak znanym wzorom barwistym, które spotykamy czy to na malowanej skrzyni u zamożnej wieśniaczki, czy na sprzętach misternie mozaikowanych szkoły Zakopańskiej, czy wreszcie namisach, talerzach, i pisankach wielkanocnych ludu naszego. To zużytkowanie fantazji ludowej było właśnie celem Wydziału krajowego, który opiekę nad rozwijającą się szkołą powierzył mianowanej umyślnie wizytatorce p. Leonie Bierkowskiej, znanej już zaszczytnie w dziejach społecznego malarstwa naszego. Widzimy też znowu wizytatorkę, jak z uśmiechem na ustach, ożywiona i uprzejma, udziela zwiędzającym gościom i dygnitarzom objaśnień i szczegółów, o które się wszyscy dopytują, zamawiając rozmaite przedmioty ze szkoły, tych bowiem, co są na wystawie, nie starczy, i po dwóch dniach większa część okazów, zgromadzonych w sali, nosi przypiętą kartkę z napisem: „zakupione przez NN,“ obok przypiętej, zawnaznacza oznaczonej ceny.

Dość już jednak tego lubowania się wystawą, bo wspomnieć wypada o innem, w kilkanaście dni później w tejże salce gromadzącem się zebraniu, któremu również „Czytelnia“ gościnne otworzyła podwoje. Oto gromadka dzieci szląskich (25 chłopców i tyleż dziewczątek) ze szkół ludowych, wraz ze swoimi nauczycielami, pod wodzą posła Michejdy, przybyła dla zwiedzenia pamiątek Krakowa, a panie z „Czytelni“, wzywawszy ku pomocy komitet i osobistości żywcze z „miasta“, krzątają się około ugoszczenia przybyłej gromadki. Powitane kwiatami i przemową na dworcu kolei grono, zaprowadzone na chwilę do przygotowanych (w jednej ze szkół miejskich) noclegów, przyjęto obfitym i smacznym podwieczorkiem, a panie i panienki usługujące przy wielkich stołach, zdobnych kwiatami, zastawionych wędliną, herbatą i przysmakami, otrzymały na podziękowanie serdeczną przemowę kierownika szkoły, oraz pieśni wykonane z uczuciem i werwą zgodnymi głosami działwy szkolnej. Po podwieczorku rozpoczęło się zwiedzanie miasta, w chwili właśnie, gdy różnobarwny a kilkotysięczny orszak „Procesji serca Jezusowego“ wkraczał w mury Małego Rynku, szląc w górę obłoki wonnych kadzideł i odgłos pieśni nabożnych, a migocąc w promieniach wieczornego słońca tysiącem barw i blasków. Obchód ten przy sprzyjającej pogodzie corocznie w piątek przy oktawie Bożego Ciała gromadzi wiernych, do których wybrany kapłan przemawia na otwartem powietrzu z ambony, wzniesionej wysoko ponad tłumem, o zmroku zaś zapalają się setki i setki świateł w oknach, na murach i galeryach, okalających Mały Rynek.

W Czerwcu także odbył się staraniem poważnego „Stowarzyszenia Nauczycielek“ w parku dra Jordana festyn ku uczczeniu pamięci Klementyny Tańskiej, która w tymże roku co i Mickiewicz świat ujrzała. Uroczystość ta, mająca głównie na celu zgromadzenie działwy, mniej się powiodła, niż oczekiwać można było, a to z powodu grożącej burzy, oraz wysiłku, jaki zrobiła kilka dni przedtem publiczność krakowska, gromadząc się w liczbie kilku tysięcy na festynie „kwiatowym“ kursów Baranieckiego, o których zachwiana obecnie egzystencją troszczy się nasz ogół, a zwłaszcza grono przybyszów z za kordonu, tak licznie w Krakowie goszczących.

Nie doszedł też wcale do skutku festyn, mający zakończyć uroczystości Mickiewiczowskie, bo nawet cel sympatyczny i ohotny współdział towarzystwa nie mógł zastąpić braku mu-

zyki na dzień ten, ani zwyciężyć innych technicznej natury przeszkód, stawiających tamę usiłowaniu ruchliwego komitetu pań.

Zjawiający się zaś przy dźwięku wszystkich orkiestr wojskowych (na koncercie „Monstre“ w parku krakowskim) Lipiec rozproszył, jak zwykle, cały prawie lud miejski, który jak roje z pasieki wylatujące, osiadł w okolicznych borach i łąkach, śmielsze zaś (czy lepiej uprowadzone) jednostki zapędziły się daleko w góry i wąwozy lub na brzegi morza, ba! nawet na litewskie niwy i stepy ukraińskie — na co kogo stać... W każdym jednak zakątku, w górach i nizinach, łatwo napotkać zieloną „Bluszcza“ gałązkę, która, w braku oliwnej, zaniesie czytelnikom pozdrowienie od ich życzliwej korespondentki

M. S.

Z bieżącej chwili.

— W d. 31-y Lipca o g. 11-ej w nocy zmarł w Friedrichsruh ks. Otton Bismarck w 83 roku życia. Otton Edward Leopold von Bismarck, syn kapitana kawalerii Ferdynanda von Bismarcka i Wilhelminy — Ludwika z Mencke'ów, urodził się w Schönhausen, dnia 1-go Kwietnia 1815 r. Za zasługi położone dla królestwa pruskiego otrzymał d. 16-go Września 1865 r. tytuł hrabiego Bismarck-Schönhausen, następnie po wojnie francusko-pruskiej tytuł księcia, później po usunięciu go od kierownictwa sprawami państwa niemieckiego d. 20-go Marca 1890 r. otrzymał tytuł księcia na Lauenburgu. Mnóstwo miast w całych Niemczech nadało mu godność obywatelstwa honorowego. Ks. Bismarck ożeniony był z Joanną Fryderyką Dorotą Eleonorą v. Puttkamer, ur. w Vialthum d. 11 Kwietnia 1824 r. B. kanclerz niemiecki pozostawia po sobie troje dzieci: Maryę Elżbietę Joannę zamężną z hr. von Rantzau; Herberta Mikołaja Henryka Ferdynanda hr. Bismarcka v. Schönhausen, ożenionego z Małgorzatą hr. Hoyos — i Wilhelma Ottona Alberta hr. Bismarcka von Schönhausen. Cała rodzina poświęcała się dyplomacyi.

— Zgodnie z wyborem rady uniwersytetu Warszawskiego, zatwierdzeni zostali, jako członkowie sądu uniwersyteckiego na rok 1898/9 profesorowie: Azarewicz, Zigel i Czausow, a jako kandydaci profesorowie: Blok, Szczerbak i Maksimow.

— Podług obliczeń dokonanych we właściwych sferach, jak donosi „Dziennik Warszawski“, liczba niewynajętych mieszkań dosięga poważnej cyfry 6,000. I do tej cyfry nie zostały jeszcze włączone mieszkania w domach nowowzniesionych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 10 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Treść: Pogawędka, przez ?? — Zapomniany śpiewak miłości, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Szczelina w okiennicy. — W. Dzierżanowski. — Pociśnienia. Opowiadanie, przez Aleksandrę Łapińską (dalszy ciąg). — Z Krakowa, przez M. S. — Z bieżącej chwili. **Dodatek obejmuje:** *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkusz 10. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót. z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.